

**BOCZNY TOR 245**  
dwudziestoletnik  
pismo nie (p) o kolei  
19 grudnia 19**97**  
**20** grudnia 20**17**



# Zaufaj

Nie ufaj sobie. Zaufaj sobie. Pisz co chcesz,  
czego chcesz? Coś w środku siedzi,  
powierzchnowość gnębi (nie: głębi).  
Między regałami bibliotek kurczysz się  
w rozszerzających się światach, macasz  
okładki, brzegi; kartkujesz i wzrok  
przyzwyczajają się do pustki marginesów.  
Nie ufaj pierwszemu wrażeniu,  
zaufaj intuicji: do niczego nie dojdiesz,  
jesteś specjalistą od niczego —  
wola mocy nie jest twoją niedolą;  
tracisz czas, pięknie.

Tymczasem czas wymyka się opisowi  
jak wszystko inne w tym zdaniu.





# Najbardziej

Najbardziej lubię pracę z ludźmi.

Najbardziej lubię pracę z ludźmi.

Najbardziej lubię pracę z ludźmi.

Po kryjomu w domu.

# Wierszyk na dobranoc

W błotnistą toń wpadł rdzawy liść.

Czas już spać iść.



### **Malewicz w Poznaniu!**

W podziemnej Galerii Poznań Garbary trwa pokaz dla wielbicieli abstrakcji geometrycznej. Kolejek nie ma. Nieliczni zwiedzający odchodzą w zadumie. Zwycięstwo sztuki — sztuki życia.









Rita Labrosse i Witold Gombrowicz.  
Vence, 1967 r.

Fot. autor nieznanym  
ze zbiorów Muzeum Literatury w Warszawie

## List pierwszy

Chciałbym wyrazić urzeczenie. W pierwszych od razu słowach. Urzekło mnie to zdjęcie! Wprost. Wybacz afektację: to taka mieszanka sympatii i wzruszenia — jak po otwarciu pożółkłej książki, z której wypada zasuszony płatek koniczyny i nagle jesteś znów na łące.

Słowa kulawe, pojęcia bezmierne: młodość, starość, przeszłość, przyszłość, teraz. Jak z nich wyplątać sens? Czy trzeba? Patrząc teraz na to teraz zatrzymane pięćdziesiąt lat temu przez anonimowego dziś fotografa. Spójrz, widzisz to co ja?

Jakich użyć słów? Spokój, harmonia (przeciwieństw?)... Chaos świata poza kadrem. Można zinwentaryzować atrybuty do opisu: książka, fotel, lustro, zegarek. I snuć wątek: stary pisarz, młoda sekretarka. Ona, on. Wiemy o nich sporo: co było wcześniej, co później. Niedawno się poznali. Masz rację: na zdjęciu są upozowani. Ale przecież to święto! Fotografia jak u początków: robiona specjalnie w atelier, w gronie najbliższych na specjalną okazję. Tu jest specjalna okazja. Święto chwili.



Zatrzymanie. Na moment. Tu teraz nikt nie choruje, nikt nie umarł, nie ma rachunków do płacenia, telefon milczy, nie trzeba trapić się: co dalej?

On, ona. Dwa światy. Jeden. Osobno razem. Daleko blisko. Było minęło jest. Urzeczenie, zauroczenie, odprężenie — błędę, pewnie widzisz coś innego, potrafisz to lepiej opisać. Więc spójrz jeszcze tylko w oczy. Jej oczy już wiedzą, łagodnie i nieco wyzywająco podkradają spojrzenie; oko Witolda wpatrzone w jasność za oknem. W tej chwili nie pisze: „włokę za sobą przeszłość jak kometa ogon”, „świadomość sama dla siebie jest pułapką” — nie teraz. Patrz na usta: uchylone wargi „geniusza”, lecz nie w grymasie zgorzknienia; usta Rity gotowe do pełnego uśmiechu.

Wącham wzrokiem to zdjęcie, intuicja podpowiada zadowolenie. Nasycam się chwilą. Spróbuj. Umiesz to lepiej niż ja.

Pozdrawiam Cię!

/ d.

## List drugi

O kim dziś? Dużo by pisać. Cały arsenał min i póź. Ślę zdjęcie szczególne dla mnie, pamiętne i siedzące głęboko. Które wybrałem dla Ciebie (siebie?). ☺ To nie to ▼

Na fotografii, o której myślę, jest już dojrzałym facetem, ale ochota na żarty mu nie przeszła. Wiesz, w msz w Łodzi na wystawie kolekcji



jego sztuka pojawia się w kontekście katastrofizmu. W punkt. Myślałem o tym 18 września. Ale na zdjęciu, które próbuję tu nieskładnie przywołać, które Ci przesyłam, żebyś sama zobaczyła, jest Witkacy aż pięknie okrągły z wesołości, w momencie radosnej zgrywy.

Żart się udał — mistrz (auto)ironii w formie, mimo że już po zarzuceniu Czystej Formy; rozochocony, choć zniechęcony do publiki, która i tak nie zrozumie, dla której



Portret Stanisława Ignacego Witkiewicza z grzywką. Zakopane, 1937–1939 r.

Fot. Tadeusz Langier

przekomicznie serio ułożył regulamin firmy, by portretować „na zamówienie”, jak zechce. Zawsze — tak to widzę — był w mocnym spięciu twórczym i cały, cały „do boju!”, jeśli idzie o rzeczy istotne. Z grzywką tu pasuje. Zobacz. Znasz? Jak wiele innych jego zdjęć: auto-

i portretów. Przebieranki, wyskokowe ujęcia siebie-nie-siebie. Szczególnie lubię te w letnich marynarkach, okrągłych okularkach. I te, jak gra: potwora egzystencjalnego, matołka, diabła metafizycznego, albo udaje maskotkę przy demonkach którejś tam kategorii... Nie wyrażam się jasno? Trudno. To zdjęcie jest jasne. Takim je zapamiętam, takim Go widzę.

Wstyd, już nie mam na półce tego albumu fotografii, w necie nie znalazłem na szybko lepszej odbitki: Stanisław Ignacy w doskonałym nastroju — z grzywką à la szlachciura i rozjaśniony uśmiechem. Aż bije od niego słoneczny zapach. No i to, co urzekło mnie przed laty: piegi! Piegi na nosie Witkacego.

Idąc tropem skojarzeń, zazdroścę mu powietrznej tatrzańskiej edukacji nie w szkolnych w ławach — nauki przyrody na halach, graniach i pośród piargów, później pikników, wędrówek, harcy... I słońca sztuki, do którego wystawiał twarz pośród katastrof mniejszych i największych, przeczuwając je, opisując, wydurniając (się). Mały Staś wydołał w dużego Stasia, ale co ja tam wiem. Popatrz na to zdjęcie i uśmiechnij się. Pa!

/ d.

## *List trzeci*

[...] za dużo chce się tu napisać przy okazji. Spójrz, proszę, więc od razu na zdjęcie, na które padła dziś kolej przypadku. Trzy, cztery — gotowa do skoku?





Nie będzie o wybrykach — dziś, ogarnięty wcześniej zmęczeniem, wyczekiwałem wieczoru, by podrażnić pomysł, który mnie zbudził: że czas na Stachurę! Idzie mi, jak się domyślisz, opornie. Z wielu powodów (ale nie sugeruj się tym, co w postscriptum). Intencje miałem szczytne. Rano. Teraz coraz bliżej ciemnej nocy.

Czas teraz na... Zawsze czas na Stachurę. Nie minął. Nie mija mi. Mimo niedosytu. Prawda jest taka: nie mam ulubionej foto-grafii z ulubionym pisarzem-poetą. Wybór padł na kadr w poruszeniu (względnym). Bo ruch, być w ruchu — to się chyba liczy: przechodzić przez, ponad. Dalej iść. Niby takie proste, lecz jemu się udało powiedzieć, napisać właśnie po prostu: Się szło.

Się szło. Wstrząsające jednak, nie? I jak mocno by się tak chciało mówić codziennie: „się szło” i wiatr podpowiadał, którędy (nie: dokąd), a słońce ustawiało cień zawsze za nami...

Dlaczego na samą myśl o Stachurze zbierają mi się mgły? Wiem, nie powiem. To nie przez piosenki, na pewno. I nie od

zdjęć. Za dużo myśli naraz. Tak. Nic nie poradzę: wciągają mnie słowa. Bardziej niż obrazy.

Dużo z niego, bardzo dużo poszło w kosmos. (Mam tu na myśli rozprzestrzeniającą się przestrzeń, nie: klasyczny ład, choć coś z nie-ludzkiego porządku w tym jest, niemało; ech, zapętlilem się samym przywołaniem Steda). To nic. Z kosmosu przyszło, przeszło wraz przez „setliczne” drogi (kto skorzysta, to jego). Na tym zdjęciu nie idzie. Zatrzymał się. W locie? Nieostatnie pytanie. Odpowiedź raczej na nie.

Jest około roku 1970. Ciechocinek. Stachura mężnie na tle tężni. Jakby w napięciu, nieprzesadnie uradowany swobodą zawieszenia ponad. Takim się wydaje. Takim się pokazuje. Dokazuje?

Jest już po napisaniu *Całej jaskrawości*. Staw sanatoryjny oczyszczony, rozmowy z przyjacielem Witkiem zmieszczony w powieści. Solanka chłodzi w i tak chłodny dzień (patrz: rękawiczki), słone powietrze rzeźwi jasną kropkę twarzy nad Ypsilonem ciała.

Popadam w manieryzm? A niech to! Słowa biją o brzeg jak fale. W szarawym zdjęciu wyczuwam (miałem okazję wdychać powietrze kiedyś przy tężniach), że klimat jest nadmorski, choć to środek Polski czy środek świata nawet (gdzie ja, tam świat?). Czy zaraz, już, pomyśli się wiersz, wers, rym, coś do zanotowania? A może nad morze? Czemu nie, ruszmy się! Akrobacja na biednym drążku, na szybko. Nieprzemyślana jak mój opis.

Coś w tym zdjęciu jest nielekkiego. Z pozorów swobodny, Stachura nie unosi się (ale też nie spada). Klisza z pamięci kalkule: w chwiejnej równowadze jest? Uff, dobrze przynajmniej, że jeszcze nie nuca go smętnie przy ogniskach, jeszcze za wcześnie, by było za późno. Widzę tu, co widzę. Samotnicza samotność? Policzki napięte — bo uśmiech.

Z czego zdjęte to zdjęcie? To chyba nie jest to Jutro, w które *raniutko jak ten szczygiel...* (Czy jeszcze patrzę w ogóle na to zdjęcie, czy snuję swój wątek?). To, co w kadrze, to nie są żadne tam mgławicowe cuda, odległe jasne polany. Jest tu w sumie dość typowa figura sprawności, choć może i chciałoby

się ją zmetaforyzować w próbę ukrzyżowania (się) do lotu. Bardziej tu oczywiście jest ku ziemi niż ponad. Na tym zdjęciu widzę pokaz zatrzymany do sfotografowania, a nie sfotografowany dla zatrzymania niebywałej chwili. I może najbardziej chcę przez to powiedzieć, że moc Stachury jest gdzie indziej. W słowach. Pewnie zaprotestowałby. *Wszystko jest poezją, a najmniej poetą jest poeta piszący wiersze.* Zostawmy deklaracje, na tej fotce ich nie ma.

Kurtka, dzinsy, mocne buty. Sted — jak żywy! Trochę korcą pytania: Kto zrobił to zdjęcie? Dla kogo te gimnastyki? Ni to wyczynowiec, ni szybowiec uwolniony siłą mięśni i hartem ducha z hangaru chmurnych myśli w nieletnią porę niewiadomej godziny nieznanego dnia. Czy udanego? Zapisanego gdzieś? No, więc: dla kogo te gimnastyki?

Ach, Stachura zwodzi na manowce. Tyleż cudne, co zgubne. Już kolejną godzinę przekładałam literki. Spójrz raz jeszcze na fotografię, którą Ci przesyłam. Sama widzisz... Nie sprostalem opisowi. Może zapatrzyłem się w ten skrawek bieli w prawym górnym rogu. Jaka to pora dnia? / d.



## *List czwarty*

*Dziś w lustrze odbija się ściana, wyżej sufit.  
Nie, nie na tym zdjęciu, które Ci przesyłam.*

Patrzę zapatrzonny. Żeby nie patrzeć w lustro? Zamykam sklezione powieki: coś od losu? Jakiś dar, podarek... Cudu się ot tak nie wywoła, cud trzeba sobie dawać.

Autoportret z żoną II. Ten tytuł nie pochodzi od nich.

Andrzej robi zdjęcie młodemu małżeństwu Wróblewskich, uśmiecha się do kadru, Teresa odprężona spogląda na beztroską parę. Za nimi i przed nimi wiszą rysunki. Ona jeszcze nie rozwiesza prania, on namaluje to za dwa lata. Jego rysunki w tle, lecz teraz tworzą razem: jedną figurę.



Są u siebie, nawet jeśli nie we własnym mieszkaniu. Nieważne. U siebie.

Biografia malarza, porażająca prawda jego sztuki — o tym można poczytać, to trzeba zobaczyć, jak wgrzyzło się w jego obrazy, ale może później, dobrze? Patrz jak Teresa. I niech będzie tylko skupienie na migawce. Utrwal(my) pogodność i lekkość, bez grama złych przeczuć.

Które blisko. Próżno przeszukuję zbiory, nie mam takich ujęć. Co widzę w tym zdjęciu? Przedziam się przez zdania z trudem, w potrzebie, bo chciałbym bardzo uratować choć drobne wzruszenie, własne, odcinając dostęp goryczy, żeby się nie wprowadziła do mnie na stałe.

Proszę, spójrz na resztę: w tych zdjęciach zamieszkało szczęście.

/ d.



[Autoportret z żoną i papierosem] grudzień 1953



[Autoportret z żoną II] maj 1954



[Autoportret z żoną III] maj 1954



[Autoportret z żoną I] kwiecień 1954



# List szósty

*Na początek pierwszy obraz.*



**Kuropatwy na śniegu.**

Obraz namalowany przez Józefa Chełmońskiego zimą 1891 roku.

Bardzo go lubię. Z kolei bardzo zniechęciłem cię do szukania sensu pośród zwiłów.



Na przykład:

„[...] W przeciwieństwie do realistycznych tendencji, **artysta wyraził tutaj swoje przekonania panteistyczne** — otaczający świat jest częścią wszechogarniającego, złączonego z naturą Boga. [...] **Ptaki**, mistrzowsko zaobserwowane w różnych pozach, zanikają w unoszącym się na wietrze śniegu. **Podporządkowane potędze natury, są jednocześnie jej integralną częścią.** Ich łacińska nazwa *Perdix perdix* jest zbliżona do słowa *Perditus* oznaczającego stratę, stąd mogą być interpretowane jako **symbol losu człowieka** lub jako **alegoria narodu polskiego po rozbiorach.** Bądź też tak jak **mitologiczny Perdiks**, genialny wynalazca zamieniony w ptaka przez boginię Atenę, **który pamiętając o swoim upadku unika wzniesień**, jako zachęta do śmiałych czynów przeciwko ciemnościom”.

[źródło: <http://artinplblog.weebly.com/pl/jozef-chelmonski-kuropatwy-na-sniegu>]

Oczywiście, to wyrywki tendencyjne. Ale współczesne, z bloga wysoko pozycjonowanego. Oprócz tego, co podałem Ci obok, jest tam na blogu też błysk wątku (na szczęście bez rozwinięcia) biograficznego:

„Kompozycja powstała w Kuklówce koło Grodziska Mazowieckiego, gdzie **artysta wycofał się, będąc u szczytu sławy** w 1887 roku”.

Tak. Tendencyjnie zacytowałem. Mogło być gorzej.

Z tym obrazem Chełmońskiego miałem własne przejścia. Pokrótkce: jako licealista brałem udział w konkursie z wiedzy „historyczno-sztucznej” (Warszawa, Muzeum Narodowe, zima, kiedyś). Zadanie brzmiało: „Opisz wybrany obraz z galerii malarstwa XIX wieku”, czas 45 min (?).

Wybrałem kuropatwy. Mogło być lepiej.

Wybrałem ten obraz, bo ujęła mnie kompozycyjna szczerłość (nie używałem wtedy słowa: prostota). I pociągnęła kolorystyka: odcienie bieli. Barwne odcienie bieli.

Tak to było oświetlone w ciepłej muzealnej Sali (zdaje się, pamiętam?). Usiadłem na drewnianej podłodze (czy w MNW jest/był parkiet?), no i się rozписаłem o tym, jaki to ładny „malarsko” obraz. Że chciałbym go mieć. Że przyciągnął mnie do siebie. Że to płótno nawet odwrócone „do góry nogami” (tu można by dosłownie rozumieć, biedne ptaszki) będzie nadal przyciągał swoją energią (reprodukcja tego nie oddaje).

Świeży odkrywca Gombrowicza wtedy byłem, a co — nie da się z realistycznego obrazu wycisnąć abstrakcji? Przecież jeśli przymknąć oczy, to te plamy szarobure tworzą ciekawy zestaw, dają napięcie — obraz się trzyma, jest w nim harmonia. Jest zatrzymany czas. Mimo że, zdawałoby się,

przedstawia nic — bladą pustynię lodową, pustkę zamalowaną. Że niby nic się w tym obrazie nie dzieje, ale najbardziej dzieje się właśnie w nim to, że jest. Kumulacja. Sztuka!

Rzecz jasna: opis mój szanowne Jury oceniło na połowę punktów z puli możliwych i przepadłem w finale. Te pięć na dziesięć punktów dostałem chyba z litości, nie wiem (widzieli moje wypieki na twarzy? może to przez nerwowy charakter pisma i wstęgi skreśleń?). Opiekunka naszej grupy powiedziała ze śmiechem: „Napisałeś to jak malarz... awangardowy”. Potem dała dziecku czekoladkę, chłopcu nadzieję, „bo jej się podobało” (czytała, nieszczęsna), a przysłemu mężczyźnie na tarczy: „Wiesz, myślę, że w opisie zabrakło nawiązania do...” (Jury! Jury!) ...że te biedne, zziębnięte kuropatwy na tym lodzie (skutej lodem wodzie?) zmarznięte kroczą, idą w zadymkę zimową jak zesłańcy na Sybir. Ba bam!

I zmiana tematu. Nieznacząca.  
Znacząca?

*Obraz drugi.*

Widok z okna pracowni artysty  
na Kopiec Kościuszki.

Autor: Stanisław Wyspiański.

Pastel opisany na rewersie:

środa 25 stycznia 1905 | rano

Wieki całe później, już na studiach („historyczno-sztucznych”, OMG!) miałem przyjemność z tekstem eseju o serii pastelów — pejzaży Stanisława Wyspiańskiego (jeden obok, reszta to zadanie domowe/wyjazdowe: zobaczyć!). Teraz, miesiąc temu, przypomniał mi się, wytropiłem go, wypożyczyłem, i zanim oddam, przeczytałem znów.

[Wojciech Bałus, *Figury losu*, Kraków 2002; rozdział: *Stanisław Wyspiański: widok z okna i tęsknota* (s. 137-136)].



Nadal działa. I obraz, i tekst. Bo Bałus uderza w ten beznadziejny przypadek piszących o sztuce, którym, by pisać, sztuki jako takiej w sumie nie trzeba. Wystarczą słowa. Znam to.

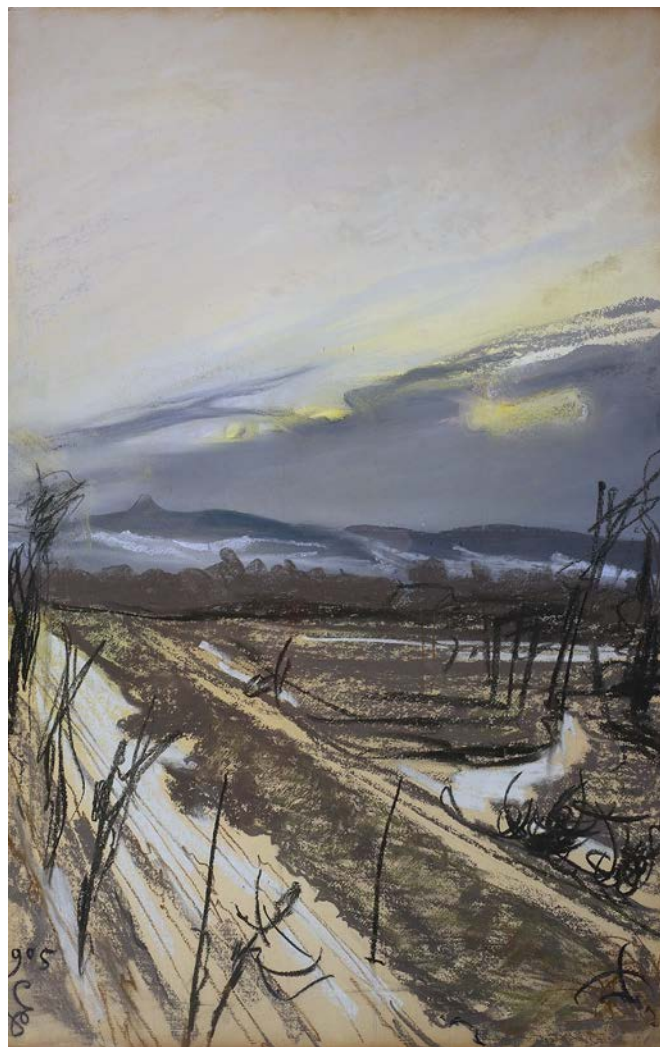


Z tymi *Widokami z okna pracowni* w sumie niezła jest (i była) jazda na koniku sensów i znaczeń (i przeinaczeń). O, proszę, biorę z internetu:

„Zamykająca przestrzeń krajobrazu **sylwetka Kopca** nie pozwala wybiec wzrokiem w dal, poza linię horyzontu, tak jak **tragiczna przeszłość narodu** **wyzwała obezwładniające uczucie niemocy**, nie pozwala wybiec myślą w przyszłość”

(E. Micke-Broniarek, *Mistrzowie pejzażu XIX wieku*, Wrocław 2005. Za: <http://niezlasztuka.net/o-sztuce/widok-z-okna-mieszkania-stanislaw-wyspianskiego-na-kopiec-kosciuszki/>)

A tymczasem (już przecież jakiś czas temu) Wojciech Bałus na to (uwaga! spoiler, ostatnie zdanie eseju): „Motorem studiów Wyspiańskiego nie były [...] wydarzenia historyczne, lecz głód świata, pragnienie chorego, by wyjść poza mury mieszkania”. Cóż, teraz czytam to zdanie i dostrzegam niebezpieczeństwo: łatwo wpaść w sidła metafizyki... Ta chęć, by wkraść się w intencje artysty, popatrzeć w oczy nieobecnemu i spytać: o czym myślałeś?



Coś za coś. Mimo wszystko już czas chyba odłożyć leksykony z gatunku „Jak czytać dawne malarstwo”. Tekst eseju Bałusa jest ogólnie przeciw hurtowemu traktowaniu sztuki/twórczości jako „świadczenia czasu”.

W szczególności chodzi o interpretację serii widoków z okna, które Wyspiański, złożony chorobą, nie mogąc wychodzić z domu (pracowni), malował w zmienne pogodowo dni zimowe przełomu 1904 i 1905 roku.

Dawno temu.

Szkopuł (pierwszy) w tym, że z pracowni artysty widać Kopiec Kościuszki. I już! Pióra w ruch! Bałus pastwi się nad „daleko idącymi wnioskami opartymi [...] na kruchych podstawach”. Pominę wtręty metodologiczne z historii sztuki (kontra wobec ikonologii) — jest to barwnie napisany esej przeciwko szukaniu znaczeń, tam gdzie ich nie ma. Nie ma — przynajmniej do chwili, gdy ktoś nazwie (opisze) swoje znalezisko.

Co w zamian? Patrzenie. A jak już mus, że trzeba nasze wtórne miasto zaludnić tekstami o obrazach, niech przynajmniej będą to relacje z patrzenia. Tak sobie pomyślałem.

Autorowi eseju wyszło, że ta seria pejzaży jest oczywistym „dążeniem do Kopca” (bo to widać, tak są skomponowane pastele), że ich „istotą” (niestety, użył tego słowa) jest ukazanie „dążenia «tam», chęć opuszczenia swego miejsca”. Dlatego nie ma ramy okna, a widz, patrzący, jest ponad ziemią. Jest już bardziej w tym KU dążeniu. I tak by można lewitować, przy tych pastelach naprawdę warto!

Nie wszystko być musi/może znakiem znaczącym, śladem po czymś lub refleksem czegoś innego. Bałus z dziką radością eseisty rozlicza piszących o Kopcu jako głównym epicentrum znaczenia: „Widzimy przestrzeń zamkniętą Kopcem, a mówimy Polska, widzimy odwilż, a domyślamy się zmartwychwstania”. Kopiec. Klucz (wytrych?) pogodowy, wszak pejzaże malowane o zmiennych porach i aurze. I sam Autor: Wyspiański, „dla którego sprawa niezawisłej ojczyzny i wolność narodu była kwintesencją życia i twórczości” (to cytuję skądinąd).

Artysta-wizjoner (to fakt!) patrzący w dal przez okno, w chorobie, nie mogąc wyjść, wcierający pastele w papier żeberkowy. Jaka konkluzja? Żadna.

Wychylamy się ku światu,  
i cóż z tego?

Szkopuł drugi w tym, że Wyspiański w swej wysokiej pracowni miał do wyboru dwa kierunki świata. W różne strony miał okna.

Wojciech Bałus: „Każdy widok może mieć dla człowieka wiele sensów. Patrząc przez okno pracowni Wyspiańskiego rolnik dostrzegłby zapewne przede wszystkim grunty orne, kolejarz — linię kolejową, wojskowy — fortyfikacje i przedpoła twierdzy, a spekulant budowlany — tanie w tym miejscu działki. [...] Otóż widok w stronę Łobzowa był nijaki: od wsi na pierwszym planie prowadził w stronę niskich i monotonych wypiętrzeń Skały Kmity i Bolechowic. Natomiast widok na Kopiec był

wewnętrznie zorganizowany. Posiadał łatwy do zapisu i niezeszpecony wiejskimi zabudowaniami plan pierwszy oraz wyraźną dominantę kompozycyjną w postaci mogiły Naczelnika. Wystarczyło sięgnąć i rysować.

Celem Wyspiańskiego było rysowanie pejzażu widocznego z okna. W stwierdzeniu ty wyczerpują się okoliczności, które doprowadziły do powstania serii. Konstatacja ta jednak nie mówi nic o wewnętrznej treści pasteli” (W. Bałus).

Jest jeszcze sporo śniegu do odgarnięcia, nim ziemia odkryje się przed nami jako ziemia, na której stoimy, po której idziemy, na której lubimy (latem) leżeć, patrząc w niebo. Żadna to konkluzja. Uwaga na boku.

Wybacz te przydługasne wywody.  
Pa, dobrej nocy! Nim, zaśniesz,  
obraz trzeci:

## Obraz trzeci.



Wieżyczki Jeżyc w zbłękitniałym śniegu.

J/Z

21 godzin temu



Dodaj opis



**Grzegorz Kmita - Patyczak** Ciężkie ciemne chmury symbolizują terror zaborców szalejący nad naszą ojczyzną, której alegorią są widoczne na pierwszym planie budynki. Ich blask jest ucieleśnieniem ciepła polskiego domowego ogniska i siły polskich rodzin trwających niczym opoka wobec nadciągającej nawałnicy. Patriotyczny żar ogrzeje nawet kuropatwy.

**Super** · Odpowiedz · 🤔👉 3 · 12 grudnia o 20:14 · Edytowany





## CYTATNIK

Co zrobić, by polepszyć sobie nastrój? Na zasadzie dwa minusy dają plus sięgnąć do głowy kolejnego z serii literackich ponuraków. Na wieczór (który już od szesnastej) jak znalazł krótkie, często jednozdaniowe zapiski Eliasa Canettiego ze zbioru „Tajemne serce zegara” (tłum.: Maria Przybyłowska, wyd. Pogranicze, Sejny 2007).

Choćby strona 9: *Nadzieje, wysuszone niczym brodawki.* Hm. Losujmy... strona 19: *Nie można unieważnić siebie...* Stop! Strona 49: *Gdybyś więcej podróżował, wiedziałbys mniej.* Czyżby? Strona 69: *Kiedy umrzemy, nie będziemy mogli być już sami.* Jaka ulga! I... strona 101: *Karmić dzioby zdumienia.* Dziwne. Ale wyżej: *Cierpienia również błędzą.* Idźmy dalej, strona 155: *A gdybyś usłyszał: jeszcze godzina?* No, no. I kostka słodka ironii na stronie 29: *Czasem ogarnia go uczucie, że na nic nie jest za późno. A więc nie zwątpił jeszcze w życie wieczne?.* Już lepiej. A tu jaki szok — znajduje jak własne słowa na stronie 85: *Więcej, więcej, więcej, najmniej.* I niżej: *Gdzie jesteś, przyjacielu, któremu mógłbym powiedzieć prawdę, nie wpędzając go w rozpacz?* Ta 85 strona jest mocna. Kończę na niej.

Już mi lepiej:

*Znać liczbę kroków, przypisanych nam od początku.*

*Liczbę oddechów i uderzeń serca.*

*Liczbę kęsów.*

/ E. Canetti

Nie opuszcza mnie poczucie, że wszystko,

co pisałem, napisane czekało na mnie. / dast







# Dziennik frazeologiczny



katachreza

[dziennikfrazeologiczny.blogspot.com](http://dziennikfrazeologiczny.blogspot.com)

Blog frazeologiczny o wysokim stopniu nieprzydatności w życiu codziennym. Zawiera nieneutralny stosunek do rzeczywistości oraz zdania wielokrotnie złożone.



## Pierwszy Dziennik Frazeologiczny

12 grudnia



*Photo by Sebastien Gabriel*

Wróciłam.

Pomyślałam, że skoro nie chcą mi odrosnąć nowe słowa, to wyjdę najpierw w starych.

Czterdzieści cztery tysiące znaków.

Panie i Panowie, pierwszy Dziennik Frazeologiczny sprzed piętnastu lat – debiutuje po raz drugi. A ja upewniam się, że jestem taka od zawsze. Może się sobie przypomnę.

---

**Festina Lente**  
**dziennik frazeologiczny**

*Wszelkie podobieństwo mnie do mnie jest czysto przypadkowe.*

cytatnik

\*\*\*

Byłam niedawno w lesie. Drzewa ubrane w spranorude swetry martwego mchu. Samobójcze skoki mokrych liści. Stałam, niewidomiejąc od wyblakłego światła listopadowego, gnijące niespiesznie poszycie miękko przytulało się do moich starych butów; chłonełam lekcję o rzeczach, które odchodzą po to, aby mogły zjawić się następne.

\*\*\*

Psuje mi się urządzenie do unoszenia kącików ust w uśmiechu. Lekko jeszcze napina się skóra wokół oczu, ale radość wcale nie dochodzi do warg, jakby gubiła drogę. Ludzie mi mówią, że jestem smutna, tak często, że aż złość bierze; przecież regularnie śmieję się głośno, gestykuję, wysypuję kolorowe słowa na piasek; spełniam wszystkie warunki ku temu, aby w kwestionariusz wpisać: usposobienie — wesołe. Nie jestem smutna. Nie urodziłam się po to, aby być smutna.

\*\*\*

Tym razem w trzech gwiazdkach zmieściło się ponad półtora miesiąca. Zdążyłam wejść w zupełnie nowy rok.. Potem do pokoju z niebieską podłogą. W pokoju z szuflady biurka wyjęłam ten zeszyt. Przeczytałam to, co zapomniane już prawie. Więc to ja?

\*\*\*

Mam wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy zmienił się wektor tej dziwnej siły, która kieruje moimi słowami. Coraz więcej jest rzeczy, które chcę mówić tylko do siebie. Noszę je w środku. Jak prezent. Może ja siebie dopiero spostrzegłam? Tyle lat wydawało mi się, że jest mnie za mało, że nie wystarczy mnie na to życie. Ciągłe uczucie braku. Potrzebuję innych ludzi, myślałam. I ta szaleńcza gonitwa — w poszukiwaniu straconych złudzeń. Coraz mniej siły. Coraz mniej mnie. Akcent na słowie ja leciutki, jak papierowa łódka. A teraz? Stoję na środku swojej pamięci i pracowicie szukam samej siebie. Jakbym próbowała nazwać rzeczy na nowo. Rozkładam na stole wspomnienia i nadaję





w tej samej rdzewiejącej tonacji jesiennej. Patrząc, jak tyłu innych, i bezprawnie próbuję przetłumaczyć rzeczy-widność na słowa. Autor oryginału pewnie wiecznie będzie mi wytykał moją nieudolność.

W uzupełniany latami słownik wpisuję lekko przybrudzoną biel astrów. Gorzki zapach łądygi rumianku. Zieleń, która ma orzeźwiająca woń rozartego w palcach liścia bzu.

Jestem stąd właśnie. Z kolorów, zapachów i smaków. Z przestrzeganych skrupulatnie pór kwitnienia i owocowania. Potrafię wymienić kolejno wyrastające spod ziemi kwiaty, tak jak dzieci recytują nazwy miesięcy. I tylko Kwiaciarnia w Mieście Epistemo-logów przeczy naturalnej logice roślin, burząc mój spokój, gromadzony starannie na zimę jak wszystkie owoce sezonowe.

\*\*\*

Smażę konfitury gruszkowo-cynamonowe. Jest to przedsięwzięcie poważne i czaso-

chłonne. Wymaga przede wszystkim czterodniowego dobrego nastroju i zapasu cierpliwości. Poza tym stanowi nie lada wyzwanie. Stare książki kucharskie opisują gruszki jako owoce nie nadające się do przetworu tak artystycznego, jak konfitura. Rzadko udaje się je usidlić w tej przezroczystej pułapce; najłżejsza nieostrożność grozi im zwykłą, plebejską marmoladą. Coś skrojone na miarę mojego leniwego perfekcjonizmu. Spróbujemy się, skrzynio pełna pachnących owoców. Zamienię cię w płynny bursztyn. Jak każdej jesieni.

\*\*\*

Znów odważyłam się napisać wiersz. Wiersz biały, choć wydaje się raczej chłodnoniebieski. Wiersz stworzony według ubiegłowiecznych prawideł poezjowania.

Ale ciągle boję się tych nienaturalnie dużych odstępów między słowami, miejsc, w których wypada nabrać oddechu i znaczenia.





\*\*\*

Mieszkam na granicy dwóch światów,  
świata słów i świata rzeczywistego  
Powtarzam czasem niektóre wyrazy,  
jak stare zaklęcia, aby przywrócić im  
dawną moc oznaczania rzeczy.

Astry, astry, ogrody astralne jesieni.  
Ile razy należy powtórzyć słowo, aby  
odsłonić ukryty pod nim obraz? Ile razy  
je wypowiedzieć, aby zetrzeć kurz liter  
z powierzchni przedmiotu? Za którym  
razem powróci barwa? A zapach?  
Dlaczego moja barbarzyńska pamięć  
tak niestarannie wpisuje stosowne glosy  
do słownika?

Powtarzam zatem niektóre wyrazy,  
na przykład: astry.

Astry, astry, astry. Czy ten, kto kwiat  
o wąskich, delikatnych płatkach nazwał  
łacińskim określeniem gwiazdy, czuł, jak  
dobrze tym mdlejącym ostrzom będzie  
w słowie aster? Astry, astry, ostre astry.

W bliskości tych kilku głosek zawiera się  
cała moc astrów, beczelnie tnących mgłę  
października na równe kawałki tygodni.  
Prawdziwe astry muszą być białe. Białe  
astry, świecące w rdzy jesiennej.

\*\*\*

W pociągu włączam teledysk okna,  
pozwalając sobie na komfort złudzenia,  
że to ja łaskawie każę omijać się światu.

\*\*\*

Kiedy piszę, zawsze jest teraz, papierowe  
i obojętne. W swoim czasie przebiegam  
ukradkiem. Nieraz wątpię w to, że mają  
miejsce jakieś zdarzenia, spotkania,  
rozmowy. Przyjaciele wracają do swoich  
domów, dodatkowe talerze na odległe półki,  
ja wracam do równowagi, zdejmując  
uśmiech jak odświętną sukienkę. Idę, jak  
zawsze, pustym korytarzem, wychodzę na  
puste schody, by, w jak zwykle pustym  
ogrodzie, obserwować gwiazdy z tym  
samym niechętnym podziwem dla jasności  
ich układów. Nagle pamięć wyświecła





przeźrocze wspomnienia. Nałożona na obraz wieczoru klisza zdradza czyjąś niedawną obecność. Zaczynam nieostrożnie tęsknić za swym miłym.

\*\*\*

Snucie tutaj ciągłej historii byłoby nieuczciwe. Ciągłe jestem porwana na strzępy, pocięta na nierówne kawałki; taka powieść w odcinkach czasu, pisana na luźnych kartkach, gubionych, bądź odnajdowanych przypadkiem.

Nie ma mnie jeszcze tyle, żeby wystarczyło na fabułę. Musiałabym gorączkowo w puste miejsca wpychać jakieś rzadko używane słowa, sklejać myśli jak papierowe modele samolotów, dopisać sobie siebie, a po co. Po co.

\*\*\*

Kątem okna zaczajam się na widok z oka. Ostrożnie zwalniam migawkę powieki. Nocami próbuję w sypialnianej ciemni powtórnie wywołać tamto wrażenie. Wreszcie, zawiedziona, wklejam je w album prześwietlonych pamięcią wspomnień.

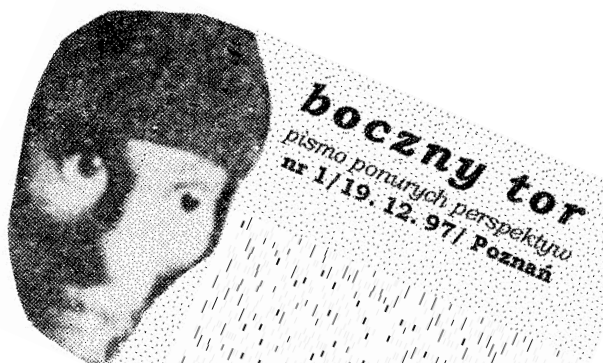
\*\*\*

Psuje mi się urządzenie do unoszenia kącików ust w uśmiechu. Lekko jeszcze napina się skóra wokół oczu, ale radość wcale nie dochodzi do warg, jakby gubiła drogę. Ludzie mi mówią, że jestem smutna, tak często, że aż złość bierze; przecież regularnie śmieję się głośno, gestykułuję, wysypuję kolorowe słowa na piasek; spełniam wszystkie warunki ku temu, aby w kwestionariusz wpisać: usposobienie — wesołe. Nie jestem smutna. Nie urodziłam się po to, aby być smutna. Mam Tilię i jestem szczęśliwa.

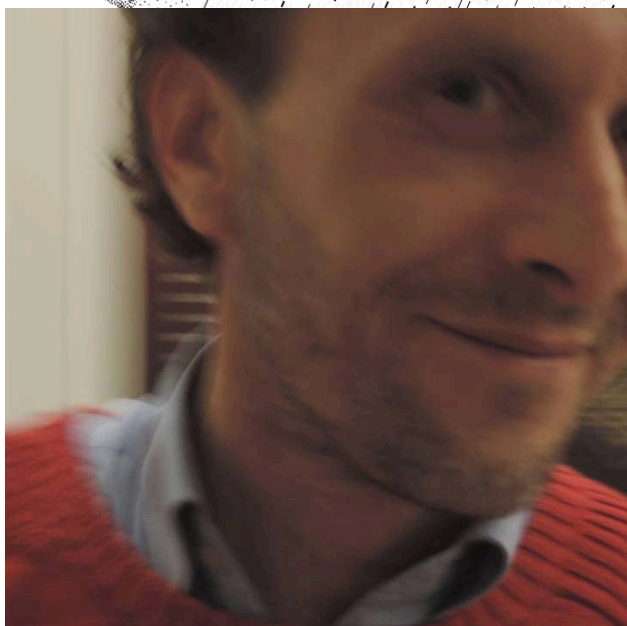
J/Z







*To wciąż zależy od ciebie,  
jutro czy nazajutrz.*



**boczny tor 245 — pismo nie (p)o kolei**  
Poznań **20.12.2017** — numer ostatni —  
teksty: Festina Lente, dast, Max Zweit,  
fot. J/Z (s. 24), ŁK (s. 36), dast

**NIHIL  
NOVI  
SUB SOLE  
...ŻEBY CZAS  
STAŁ SIĘ KOLEM**





## O przechodzeniu do historii

Wyjść  
się  
przejsć.

